

# FOTOREPORTER KOMUNIZMU

**Urodziłem się w 1950 r. w polskiej rodzinie w Londynie. Pierwszy raz przyjechałem do Polski, gdy miałem 13 lat. Potem już tu wracałem. W 1976 r. wziąłem ślub z Karoliną Cieliszak, studentką germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przez wiele lat mieszkałem w Polsce jako zachodni korespondent. Obywatelstwo polskie otrzymałem w 1998 r.**

## Rodzice

Moja mama Helena Łyżwańska wyjechała z Polski na początku września 1939 r. Pracowała wtedy w Polskiej Agencji Telegraficznej, czyli odpowiedniku dzisiejszej Polskiej Agencji Prasowej. Rząd RP, podejmując decyzję o emigracji, potrzebował do obsługi pracownic. Niewiele z nich chciało wyjeżdżać, a moja mama była wtedy wolna i myślała, że wojna skończy się za parę tygodni. Wyjechała więc razem z rządem i przekraczała granicę RP 17 września. Przez Rumunię i Paryż dotarła do Londynu. Natomiast mój ojciec, Jan Niedenthal, urodził się we Lwowie. Był wiceprokuratorem Wilna. Wyjechał z Polski we wrześniu 1939 r. przez Litwę, Szwecję, Francję, gdzie dołączył do I Dywizji Grenadierów gen. Bronisława Ducha, która broniła linii Maginota. Nie był zawodowym wojskowym, został wzięty do niewoli niemieckiej, z której uciekł. Przedostał się do Hiszpanii, gdzie znów go uwięziono. Po kolejnej ucieczce z więzienia udał się do Anglii. W Londynie włączył się w prace rządu RP. Po wojnie nie mógł być w Anglii sędzią ani prokuratorem, więc pracował w brytyjskim ministerstwie oświaty, w specjalnym wydziale dla Polaków – dla tych, którzy po wojnie zdecydowali się pozostać w Anglii i szukali możliwości nauki czy studiowania. Pomagał im dostać się na studia, zdobyć stypendium.

## Elementarz pachniał Polską

W domu zawsze była polska atmosfera. Byłem z siostrą karcony za to, że rozmawialiśmy ze sobą po angielsku. Z rodzicami zawsze rozmawiałem po polsku. Do piątego roku życia, kiedy poszedłem do szkoły, bardzo kiepsko mówiłem po angielsku. Rodzice ojca umarli przed wojną, nie miał więc żadnej rodziny w Polsce. Jego dwaj bracia w latach 20. i 30. wyemigrowali za chlebem do Rio de Janeiro. Trzeci brat Adam zginął od alianckich bomb w niemieckim obozie jenieckim. Czwarty brat Władysław Niedenthal walczył w Powstaniu Warszawskim. Prawdopodobnie był jednym z szefów tzw. „Antyku”, czyli komórki antykomunistycznej w Armii Krajowej. Władysław Bartoszewski pamięta go jako jednego ze swoich zwierzchników. To ciekawa postać. Do końca nie wiemy, czy on naprawdę zginął. Mówiono nam, że poległ ostatniego dnia Powstania na ulicy Promyka na Żoliborzu, ale nie znaleziono ciała. Jego symboliczna mogiła znajduje się na Powązkach. Ciekawe jest to, że w latach 80. spotkałem kobietę, która go znała z Powstania i twierdziła, że po wojnie widziała go w Warszawie na przystanku autobusowym. Do Londynu dotarła przez Iran jego żona z dziećmi. Moi rodzice jednak niechętnie wspominali czas wojny i swojej działalności.

Chodziłem do polskiej szkółki w soboty. Uczyliśmy się tam geografii, tańca, śpiewu. Wychowywałem się na polskim elementarzu Falskiego, uczyłem się, że Ala ma kota. I pamiętam do dziś zapach tej książki. Ona pachniała sosną, lasem. Gdy zdałem jakimś cu-

dem egzamin do dobrej angielskiej szkoły, tata kupił mi w nagrodę aparat fotograficzny. Później ukończyłem Wydział Fotografii w London College of Printing.

### **Spodobał mi się ten kraj**

W Polonii londyńskiej były dwa obozy: jeden bardzo konserwatywny, drugi mniej, i my do niego należeliśmy. Mocno zacietrzewieni antykomuniści nie chcieli jechać do komunistycznej Polski i kategorycznie zakazywali tego swoim dzieciom. Myślę, że ojciec trochę bał się jechać, bo przed wojną wsadzał w Wilnie komunistów do więzienia. Pierwszy raz przyjechaliśmy do Polski całą rodziną w 1963 r. do krewnych mojej mamy. Nic się nie stało, nie było szykan. To było dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Bardzo mi się tutaj spodobało. Dwa lata później wybrałem się sam na wakacje do Polski. Później jeździłem każdego roku. Po studiach przyjechałem do Polski w 1973 r. i już zostałem.

### **Nielegalne kościoły**

Pierwsze zdjęcia, które robiłem dla „Newsweeka”, to były nielegalne kościoły zbudowane w województwie białostockim. Zaangażował mnie do tego korespondent z Bonn, Paul Martin, który przyjechał do Polski, żeby napisać o tym materiał. To było niebezpieczne, bo często kościoły budowano w strefie nadgranicznej z ZSRS. Tam nie wolno było robić zdjęć, zwłaszcza obcokrajowcowi. Było to bardzo ciekawe, np. kaplica, która była normalnym prywatnym jednorodzinny domkiem, z dobudowaną nawą. Widziałem domy, w których zamiast salonu była kaplica. Wokół stołu – ołtarza ze świecami – modlili się ludzie. Budowano też świątynie po cichu, w dużej stodole, którą potem rozbierano. Byliśmy w kilku takich miejscach. To był mój chrzest bojowy. Zdjęcia robiłem bez błysku, aby uchwycić atmosferę, ducha. Od tego czasu fotografowałem dla „Newsweeka”. Wizytę Papieża w Polsce w czerwcu 1979 r. obsługiwałem również z Paulem. Ciekawe, że później wydano go z Polski jako szpiega CIA. Czy nim był? Nie wiem.

Mimo że z USA przyjechał też znany amerykański fotograf z „Newsweeka”, moje zdjęcie trafiło na okładkę. W Warszawie fotografowałem z hotelu Victoria szeroki plan placu Zwycięstwa. Pielgrzymka była bardzo piękna, niesamowita. Chyba w taki sposób zostałem z czasem fotografem współczesnej historii Polski.

### **Nadpalony Radom**

Pierwsza czkawka historii, w której brałem udział, to były wydarzenia w Radomiu w 1976 r. Nie pracowałem wtedy dla żadnego z pism i nie mieszałem się do politycznych spraw. Razem z Krzysztofem Bobińskim, który pracował wtedy dla „Financial Times”, i moją żoną zdecydowaliśmy się pojechać do Ursusa. Schowałem aparaty fotograficzne do siatki z zakupami. Podjechalśmy autobusem blisko fabryki, ale gdy wmiszczaliśmy się w tłum robotników, momentalnie zostaliśmy wyłowieni przez milicjantów i odesłani do Warszawy. Żonie grozili, że może nie skończyć studiów. Nie zrobiłem wtedy żadnego zdjęcia. Była jednak Inger Wahloo, szwedzka korespondentka „Expressen”, która później za swoje teksty o PRL została oficjalnie usunięta z Polski. Pojechałem z nią robić materiał do Radomia, który wtedy w 1976 r., po buncie robotników, został „uhonorowany” centralnymi uroczystościami z okazji Dnia Milicjanta. Pamiętam, że była wielka parada przed wypalonym gmachem komitetu partii, który przystrojono wielkimi flagami.

Akredytowałem się w Polsce jako fotograf pracujący dla nieznannej francuskiej agencji Team International, choć *de facto* byłem wolnym strzelcem. W tamtych latach nie starałem



Fot. Jarosław Wróblewski

Chris Niedenthal



Warszawa 1979



Fot. Chris Niedenthal, Forum

się prowokować. Chociaż nie byłem neutralny światopoglądowo, nie wchodziłem jeszcze w sprawy podziemnej opozycji. Obawiałem się, że mogę być obserwowany przez Służbę Bezpieczeństwa i nie chciałem narażać innych.

### **Tłumacz Wałęsy**

Pierwszego dnia strajku w stoczni w 1980 r. zadzwonił do mnie angielski korespondent Michael Dobbs, że powinniśmy pojechać do Gdańska. Następnego dnia już tam byliśmy, ale nie chcieli nas wpuścić za bramę. Miałem wielkiego pietra. Robotnicy bali się jednak tak samo jak my. Bałem się wejść jako obcokrajowiec, bo mogłem być zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo, za to, że fotografuję zakład o znaczeniu strategicznym. Oni jeszcze wtedy nikogo nie wpuszczali i nie wiedzieli, co z nami zrobić. Gdy nas już wpuścili, poszliśmy do sali BHP. Tam wtedy odbywały się rozmowy. Po jednej stronie stołu siedział Gniech, ówczesny dyrektor stoczni, a naprzeciwko niego człowiek z węgami, o którym nigdy nie słyszałem. Czułem, że dzieje się tu coś ważnego, miałem jednak zakaz robienia zdjęć. Uczestniczyłem w tych rozmowach, siedząc obok Lecha Wałęsy, i tłumaczyłem jego słowa mojemu angielskiemu koledze. Ukradkiem zrobiłem jakieś zdjęcia Gniecha od tyłu bez błysku. Zrobiłem też kilka zdjęć robotnikom. Gdy była przerwa w rozmowach, wyszedłem ze stoczni na ulicę, sfotografowałem bramę i poszedłem na dworzec kolejki podmiejskiej. Atmosfera tych rozmów była taka, że myślałem, że one się zakończą już tego dnia. Przed bramą był mały tłum, na bramie nie było jeszcze zdjęć Papieża. Stałem na peronie kolejki i chciałem sfotografować wychodzących ze stoczni ludzi. Nagle otworzyła się brama i wyszła jakaś grupa. Zacząłem im robić zdjęcia. Oni zauważyli mnie. Któryś krzyknął: Bierzcie go! Nie uciekałem, więc mnie zabrali do budki strażników, którzy gdzieś wydzwaniali i pytali, co ze mną zrobić. Mimo strajku ci strażnicy nie byli razem z robotnikami. Trwało to kilka godzin. Nie tłumaczyłem się. W końcu mnie wypuścili. Spotkałem Dobbsa i wróciliśmy do Warszawy. Zdjęcia trafiły na okładkę „Newsweeka”, choć wydrukowali go tydzień później, gdy brama stoczni wyglądała bardziej barwnie. Wróciłem na ostatnie kilka dni strajku, ale panowała już całkowicie inna atmosfera. Byli tam dziennikarze i telewizje z całego świata. Wszedłem bez problemów. Nastrój był jak przy rozdawaniu Oscarów. Po tym wydarzeniu już wsiąknęłam w bieg polskiej historii. Miałem nakaz z „Newsweeka” robienia wszystkiego, co dzieje się w kraju. Za Wałęsą jeździła wszędzie cała kawalkada zachodnich dziennikarzy. Samochód Wałęsy jeździł szybko, starałem się być na jego ogonie. Strajki, spotkania, zjazd „Solidarności”...

### **Propozycje współpracy**

Kilkakrotnie chciano mnie namówić do współpracy z bezpieką. Chcieli, abym im dostarczał zdjęcia z różnych manifestacji. Ubekom zależało najbardziej na twarzach uczestników demonstracji, których można było później wyłapać. Oczywiście nie przystałem na te propozycje. Pierwsze takie zdarzenie miało miejsce jeszcze przed stanem wojennym, gdy Lech Wałęsa przyjechał na rozmowy z Mieczysławem Rakowskim w Urzędzie Rady Ministrów. My kłębiliśmy się w małym pokoiku, bo nie wpuszczano nas na salę obrad. Czekaaliśmy często do godziny 2–3 nad ranem. Z Wałęsą był jakiś solidarnościowy fotograf i jemu szmuglowaliśmy swoje aparaty, żeby pstryknął zdjęcia. Dałem więc mój aparat, ale został skonfiskowany. Wezwano mnie wtedy na rozmowę, że niby nic, że mają mój aparat i chcieliby „coś za coś”. Powiedziałem, żeby go sobie zatrzymali, i podziękowałem za ich propozycje. Ten aparat nie miał dla mnie większego znaczenia, bo choć był dobry, to jego wartość była równa jednej lub dwóm dniówkom mojej pracy.



Fot. Chris Niedenthal, Forum

Gdańsk 1980

Była też dziwna prowokacja na cmentarzu Powązkowskim w latach 80. Chyba był to pogrzeb dziennikarza, który popełnił samobójstwo. Nie mogłem być na tych uroczystościach, ale przyszedł jakiś fotograf, który podawał się za mnie. Przedstawiał się jako Nienthal i mówił, że robi zdjęcia dla „Newsweeka”. Opowiedzieli mi to koledzy, którzy próbowali go stamtąd przegonić.

Wszyscy byliśmy wtedy w jakimś stopniu inwigilowani. Dziwna historia przydarzyła mi się w 1986 r., gdy ktoś włamał się do mojego samochodu. Później w środku leżało 13 róż. Nic nie zginęło. Co to miało symbolizować? Może to, że ja byłem akurat od 13 lat w Polsce, ale to chyba niemożliwe. Do tej pory nie wiem, o co chodziło.

Robiłem zdjęcia na slajdach i nigdy ich nie widziałem przed publikacją, bo wywoływano je dopiero w redakcji. Niewywołane slajdy to był warunek zachodniego wydawcy i gwarancją, że nikt z tych zdjęć nie zrobił wcześniej żadnych odbitek.

### **Głęboka kieszeń**

Raz w Nowej Hucie zaparkowałem chyba kilometr od głównych zamieszek i kiedy wróciłem z demonstracji, to przy samochodzie już czekali milicjanci, żeby mi zabrać filmy. Dobrze wiedzieli, kim jestem i gdzie zaparkowałem. Byli grzeczni, ale zaskoczyli mnie i chyba oddałem im wtedy film. Najczęściej robiłem jednak tak, że po zrobieniu zdjęć chowałem filmy do głębokich kieszeni, a gdy chciano mi je zabrać, to oddawałem inne, specjalnie na taką okazję przygotowane czyste klisze. Ten manewr często się udawał. Byłem na niego przygotowany. 31 sierpnia 1982 r. w rocznicę strajku przy zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej zobaczyłem, że jacyś ludzie dają sobie dziwne znaki, jak rzucanie rękawicy na ziemię. Byłem w tłumie i wyczułem te ruchy wokół mnie, ale mnie nie aresztowano. Zwykle jak mnie zatrzymywano, żądałem od nich legitymacji, co ich bardzo denerwowało.

Jechałem kiedyś do Huty Warszawa w 1982 czy 1983 r. i gdy zacząłem wjeżdżać w uliczki (a miałem rejestrację: litery IWA na zielonym tle – dla obcokrajowców), otoczono samochód i grożąc pistoletem, wyciągnięto mnie z niego. Potem razem z innymi dziennikarzami przesiedzieliśmy całą demonstrację w komisariacie.

Groźny moment to był wyjazd pod Kopalnię Wujek jakieś pół roku po jej pacyfikacji. Razem z kilkoma innymi fotografami zwinęto nas momentalnie i zawieziono do siedziby milicji. Rozdzielili nas i przepytывali. Chcieli nas zastraszyć. Ratowało nas to, że mieliśmy inny status jako obcokrajowcy, pewnie byłby wielki raban w mediach, jeśli cokolwiek by nam się stało. Nie znam zagranicznych dziennikarzy, których by pobito, ale z polskimi postępowano bardziej brutalnie.

### **Stan wojenny w pigułce**

Najtrudniej było w stanie wojennym. Nie można było swobodnie wystać zdjęć. Miały one być dostarczone do Nowego Jorku najpóźniej w piątek wieczorem. Stan wojenny rozpoczął się z soboty na niedzielę. Pierwsze fotografie ukazujące groźbę stanu wojennego „Newsweek” otrzymał od Francuzów, którzy zdążyli zrobić zdjęcia i wyjechali z Polski. Wtedy nawet wstrzymano druk, żeby jeszcze dołączyć je do pisma. Mimo różnych problemów łatwiej mi było robić zdjęcia niż je dostarczyć do USA. W połowie pierwszego tygodnia stanu wojennego zastanawiałem się, jak przemycić filmy. Nie mogłem wyjechać, bo bałem się, że mnie nie wpuszczą z powrotem. Zdecydowałem się, że pójde na Dworzec Gdański. Był taki pociąg, który odchodził około godziny 22.00, a obowiązywała wtedy godzina policyjna. Kilkanaście filmów zgodził się zabrać jakiś Polak, który wyjeżdżał z żoną





Fot. Chris Niedenthal, Forum

Warszawa 1981



Warszawa 1982

Fot. Chris Niedenthal, Forum



do Niemiec, ale gdy dowiedziata się o tym żona, to myślałem, że go zlincuje. Musiał mi wszystko oddać. Gdy do odjazdu były 2 minuty, paczuszkę wziął ode mnie student z Niemiec i obiecał powiadomić redakcję „Newsweeka” w Bonn. Polacy byli przestraszeni, bo TVP wyemitowała reportaż z granicy, gdzie pokazano konfiskatę filmów przez celników. Młody Niemiec chyba tego programu nie oglądał. Trochę się bałem, że te zdjęcia sprzeda jako swoje. Okazał się uczciwy i po kilku tygodniach zobaczyłem je już wydrukowane. Wrażenie robiło zwłaszcza to z wozem bojowym i żołnierzami na tle kina Moskwa, z planszą „Czas Apokalipsy”, która była reklamą filmu Coppoli. Choć to zdjęcie technicznie nie jest dobre, to oddało stan wojenny w pigułce.

Dopiero kiedy przedłużono mi polską wizę, pojechałem w styczniu do Anglii. Byłem wtedy kurierem zagranicznych dziennikarzy. Przewiozłem dużą liczbę szpul fotograficznych, nagranych na kasety filmów, napisane teksty, które później z Anglii dostarczałem do redakcji. Między zachodnimi dziennikarzami było swego rodzaju braterstwo. Polecałem też do Nowego Jorku i dostałem stały kontrakt z „Newsweekiem”. Docenili moją pracę.

### **Opiekun z Interpressu, zdjęcia z Białotęki**

Korespondenci zagraniczni mieli początkowo akredytację i wizę do 31 grudnia 1981 r. Od 13 grudnia zostały nam więc tylko dwa tygodnie do wygaśnięcia wizy. Nasze normalne kanały przekazu za granicę były zablokowane. Wszystkimi korespondentami zagranicznymi opiekował się Interpress, który mieścił się na tyłach Teatru Wielkiego. Wszelkiego rodzaju podróże po Polsce trzeba było w stanie wojennym ustalać z nimi. Zawsze trzeba było pisać podanie i czekać na zgodę. Często przydzielali opiekuna. Manifestacje uliczne fotografowałem oczywiście bez opiekuna.

Ale Interpress na początku stanu wojennego też był zamknięty. Po kilku dniach rozpoczął działalność. Wysyłało się filmy na Zachód za ich akceptacją. To oczywiście było pole dla naszych machlojek, które polegały m.in. na podmienianiu filmów. Tak udało mi się przeszmuglować zdjęcia zrobione internowanym w Białotęcie, które opisałem jako kadry z ulicy. Do Białotęki aparat dostarczyłem przez zaprzyjaźnionego operatora Piotra Kwiatkowskiego, którego brat Maciej był tam przetrzymywany. Piotr przekazał mu aparat podczas widzenia. Zdjęcia zostały wykonane w poczekalni i w więzieniu.

W Interpresie nie sprawdzali tych filmów. Liczyła się liczba sztuk szpułek filmowych i opis. Nie zmuszano nas do wywoływania zdjęć. Wobec nas cenzura była jednak dość łagodna.

### **Na demonstracjach**

Trudno było fotografować demonstrację. Fotoreporter narażał się obu stronom. Ubecy byli w tłumie, i manifestanci traktowali czasem nas jak ubeków. Nie znałem osobiście – jak moi polscy koledzy – solidarnościowych „zadymiarzy”. Jestem wysoki, nie mogłem się wtopić w tłum. Trzeba było uważać, żeby nie uszkodzić sprzętu, nie dać się oblać sikawką milicyjną i jeszcze zrobić dobre zdjęcia. To nie było takie łatwe. Byłem kiedyś na Lwowskiej na występie podziemnego teatryku. Było to bardzo ciekawe, ale proszono, żebym nie robił zdjęć. Inni dziennikarze mogli to chociaż opisać. Zdjęcia ze struktur „Solidarności” robił Erazm Ciołek. Dużo dobrych zdjęć z tego okresu wykonał też Wojciech Łaski z Francji.

Były oczywiście wydarzenia, które mnie mocno poruszały – pogrzeby czy bici ludzie. Osobiste wzruszenie nie może jednak przeszkodzić w robieniu zdjęć, które przyczynią się do piętnowania zła.

**„Nie rozwijasz się”**

Mimochodem stałem się fotoreporterem politycznym. Tak wyszło. Choć wcale nie twierdzę, że robiłem lepsze zdjęcia niż koledzy. Plusem jest to, że moje archiwum historii Polski jest w kolorze.

Jestem „per ty” z Lechem Wałęsą. Podczas ostatniego spotkania na zimowej olimpiadzie w Salt Lake City powiedział mi, że on z elektryka został prezydentem, a ja ciągle jak byłem fotoreporterem, tak nim jestem nadal. Zarzucił mi, że się nie rozwijam.

Moje ulubione zdjęcia? Często nikt ich nie widział. Nie są polityczne. Natomiast zawodowo fotografowałem komunizm, jego skutki i upadek również w innych krajach. To był temat mojego życia.

Opracował Jarosław Wróblewski



Fot. z archiwum rodzinnego autora

23 lutego 1961 r. z rodzicami i siostrą (od lewej: Chris, Helena, Jan i Krystyna) przed pałacem Buckingham w Londynie. Ojciec otrzymał tego dnia od królowej order MBE (Member of the Order of the British Empire) za pomoc Polakom po wojnie.